



NA SKRAJU

Marcin Bień

Na skraju

Copyright © Marcin Bień

Copyright © Wydawnictwo Excalibur

Wydanie I, Wrocław 2024

ISBN 978-83-971423-1-2

Druk i oprawa: Abedik

Redakcja: Patrycja Kubas

Korekta: Karina Przybylik

Skład i łamanie: Joanna Karyś, Piotr Mańturzyk

Ilustracja na okładce: Isabella Karpińska

Ilustracje w książce: Isabella Karpińska

Ilustracja na wyklejce: Oliwia Adamska

Projekt okładki: Anna Piotrowicz

Wektory: Anna Piotrowicz

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w Internecie.

All right reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

[instagram.com/_marcinbien_autor](https://www.instagram.com/_marcinbien_autor)

www.wydawnictwoexcalibur.pl

[fb.com/wydawnictwoexcalibur](https://www.facebook.com/wydawnictwoexcalibur)

[instagram.com/wydawnictwoexcalibur](https://www.instagram.com/wydawnictwoexcalibur)

[Kup książkę](#)

Spis treści

PROLOG	4
CZĘŚĆ PIERWSZA	6

PROLOG

Wokół szalał ogień. Dziki i nieokiełznany. Wszechogarniający. Ktoś mówił, że przygnał go porywisty wiatr od wschodu. Inny twierdził, że o poranku widział podejrzenie wyglądającego człowieka i to on musiał być za wszystko odpowiedzialny.

Nie to się teraz liczyło.

Dla chłopaka wracającego dopiero z pola liczyła się siostra, leżąca samotnie w domu z gorączką. Dla matki liczyło się dziecko, które tkwiło uwięzione na górze ich chatki. Dla miejscowego kowala liczył się zakład, założony jeszcze przez jego dziadka, zamieniający się właśnie w zgliszcza i popiół.

Dla wszystkich najważniejsze było to, że ogień szalał w ich wiosce. Płomienie rozszerzały swe palące macki coraz bardziej, pochwytyując bezlitośnie i w równym stopniu wszystko, co napotkały na swojej drodze. Wielu próbowało walczyć z zabójczym żywiołem. Od strony studni ciągle nadchodzili mieszkańcy, chcąc ugasić płonące dobytki.

Na próżno... Nic nie mogło powstrzymać niszczącej siły pochodów ognistych języków. Wkrótce cała wioska płonęła. Dla mieszkających tu ludzi cały świat stanął w ogniu...

Wszystko to obserwował pewien przybysz, będący w tejże wiosce przejazdem. Akurat wracał po dość udanym dla jego kieszeni zleceniu.

Zatrzymał się tutaj raptem na jedną noc.

Właśnie na tę...

Udało mu się uciec z zajętej czerwonymi płomieniami gospody. Wystarczyłoby zatrzymanie się, zawahanie na choćby pół kroku i walący się

sufit pochłonąłby go ze sobą, przygniatając pod ciężarem desek. Wydostał się na zewnątrz, stając przed tym, co ledwie jeszcze mogło swym wyglądem przywodzić na myśl karczmę. Rozejrzał się. Dostrzegł wąską ścieżkę, jeszcze bezpieczną, prowadzącą poza wioskę. Dającą ratunek, będącą nadzieją na ucieczkę przed szalejącym wokół niego żywiołem.

I wtedy usłyszał krzyk. Krzyk wydobywający się z gardła chłopca, wypełniony bólem, cierpieniem i gniewem. Każde z tych odczuć wybrzmiewało osobno, każde miało wysokie, ogromne wręcz napięcie. Krzyk, mimo iż chłopięcy, brzmiał... jakoś inaczej.

Nieludzko.

Mimo dreszczy, jakie go przeszły, zaczął iść w stronę, z której dobiegał ten przeraźliwy dźwięk. Był już blisko, zaczynał widzieć dręczoną cierpieniem twarz chłopca.

Tuż przed mężczyzną buchnął wielki, gorący płomień, osmalając mu twarz, aż syknął z bólu. Upadł na plecy z głośnym łomotem.

Instynkt samozachowawczy wziął górę...

Podniósł się z ziemi, po czym odwrócił się i zaczął biec. Biegł równym, szybkim tempem, mijając zniszczenie i śmierć. Bezpieczny skraj lasu miał już niemal przed sobą. Nie widział już tego, co działo się za nim. Dziesiątki płomieni nieprzerwanie rozrastało się, aż powstał z nich jeden ogromny żar, rozlewający się na każdą pozostałość chaty i każdy skrawek ziemi. Nie dało się już dostrzec niczego.

Poza ogniem...

CZĘŚĆ PIERWSZA

Czerwone iskierki tliły się delikatnie ze wciąż palącego się ogniska. Powoli słabnący blask padał na pociągłe, surowe oblicze mężczyzny. Na jego brązowe oczy, na jego ciemny zarost. Na jego krótkie włosy, w kolorze przywodzącym na myśl dojrzałą pszenicę. Siedział tak, zatopiony w swych rozmyślaniach. Równocześnie zachowując czujność. Przyzwyczajony od tak wielu lat do prowadzenia samotnego życia, musiał pozostawać czujny.

Zwłaszcza jeśli chciał się przy nim utrzymać.

Leśna głusza pod osłoną nocy w każdej chwili mogła sprawić niemiłą niespodziankę w postaci nieoczekiwanego i niezbyt przyjaźnie nastawionego gościa. Choć okolica, dokładnie sprawdzona uprzednio przez Ristena, wydawała się bezpieczna, nie miał pewności, czy rzeczywiście tak było. Zresztą, a co w życiu mogło być pewne?

Risten dołożył kilka gałęzi do swego źródła ciepła i światła. Krążące w jego głowie myśli powędrowały w zupełnie inne miejsce. Pamięcią wrócił do minionych, lecz nieodległych dni. Dni, kiedy jego życie po raz pierwszy od dłuższego czasu przedstawiało się w nieco jaśniejszych barwach.

A przynajmniej tak mu się wówczas wydawało, po wykonaniu tamtego książęcego zlecenia. Choć musiał przyznać, że jego finalny element okazał się nieco bardziej wymagający w wykonaniu, niż się spodziewał.

Głowa mężczyzny osunęła się po otwartych drzwiach, znacząc je długą czerwoną smugą. Napastnik szedł pewnym krokiem. Pomieszczenie, w jakim się znalazł, było przestronne i wymyślnie urządzone, wypełnione obrazami, rzeźbami i drewnianymi meblami, ale to nie jemu poświęcał obecnie uwagę. Wpatrywał się w wysokiego osobnika, o ciemnych i rzadkich włosach, grubawego, lecz z zaciętym obliczem, niczym drapieżnik osaczający upatrzoną wcześniej ofiarę. Zapach świeżej krwi unosił się w powietrzu, mieszając się z ciężką wonią tytoniu i intensywnym piżmem męskich perfum.

– To był jeden z moich najlepszych ludzi... – jęknął mężczyzna, znany jako Zulus.

– Był. Słuszna uwaga.

Zulus, słysząc zimny głos napastnika, cofnął się o kilka kroków. W jego hardym spojrzeniu przywódcy szajki zagościł również strach i niepewność. Ponownie skierował wzrok na uchyloną w podłodze klapę, jakby miał nadzieję na cud. Ale ten się nie zdarzył. Jego ostatnia droga odwrotu pozostała niedostępna.

– Kim jesteś?

– Mam na imię Risten, jeśli ta wiedza ma dla ciebie znaczenie – odpowiedział, odsuwając zagrażający mu drogę fotel z profilowanym grzbietem.

Zulus prychnął.

– Pierwszy raz słyszę takie imię – stwierdził pogardliwie. – Zakładam, że nie jesteś skończonym idiotą i wiesz, kim ja jestem. Możesz być przy mnie majątnym człowiekiem. I to szybciej niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić.

Risten westchnął z politowaniem.

– A jeszcze szybciej ktoś w środku nocy pchnąłby mnie nożem – odparł bez namysłu, kontynuując marsz w jego stronę.

Zulus przetknął ślinę, a na widok płomieni pobliskiego kandelabra, odbijających się na wrogim ostrzu, cały zadrżał.

Risten zamachnął się mieczem i zamiast odgłosu rozpruwanego ciała usłyszał szcęk stali blokującej jego atak. Uniósł nieco brwi.

– Spodziewałem się, że gdy zobaczysz beznadzieję swojego położenia, poddasz się, wykazując tym samym rozsądek. A tymczasem stawiasz opór... Udało ci się mnie zaskoczyć. I zanosi się, że to będzie twoje ostatnie osiągnięcie w tym życiu.

– Wiem, jak władać mieczem – warknął mężczyzna.

Ponury uśmiech przemknął przez twarz Ristena.

– Pokaż.

Mężczyzna dał krok naprzód i wykonał zdecydowane, mocne pchnięcie w kierunku Ristena, za co oberwał po lewym ramieniu. Syknął z bólu, a jego bojowy zapach w jednej chwili ustąpił miejsca defensywnemu podejściu.

Nieproszony gość Zulusa przeszedł do ataku.

Ciosy Ristena, choć silne, zdawało się, że były wyprowadzane niedbale, jakby ten nie wkładał w nie większych starań. Zulus osłaniał się mieczem, stękając i zaciskając zęby, a pot rosił jego czoło coraz obficie.

Nie zamierzał dać za wygraną.

Zacisnął dłoń na rękojeści i z całej siły, na jaką było go stać, wykonał pchnięcie, celując w lewe ramię Ristena. Ten błyskawicznie osłonił się, odepchnął ostrze mężczyzny i zamachnął się na jego biodro. Herszt szajki ledwie zdołał uniknąć trafienia.

Zulus oddychał ciężko i powoli. Jego ostatni zryw nie przyniósł mu żadnej korzyści, a zarazem odebrał sowsitą zapłatę. Mężczyzna nie wyprowadzał już ataków, jedynie osłaniał się przed ciosami lecącymi w niego raz za razem.

Wkładając wysiłek wszystkich mięśni w obronę, nie widział, że z każdym kolejnym uderzeniem przesuwają się w tył, aż do momentu, gdy jego plecy dotknęły przepastnego regału z książkami. Zaskoczony Zulus wzdrygnął się, uzbrojone ramię opadło wzdłuż ciała, jakby uchodziło z niego napięcie, a zaciśnięte do białości na rękojeści palce wypowiedziały posłuszeństwo, ulegając rozluźnieniu. Risten, widząc to, machnął jakby od niechcenia mieczem, wytrącając z dłoni mężczyzny broń. Brzęk upadającej stali poniósł się krótkim echem. Zulus gapił się na nią błędnym wzrokiem, jakby zrozumienie obrotu wydarzeń go przerastało.

– To by było na tyle – stwierdził Risten.

Mężczyzna nagle skierował oczy w jego stronę.

Wyglądał jakby chciał coś powiedzieć, bronić się jeszcze słowami, błagać o litość. Zamiast tego z jego gardła dobył się jedynie stłumiony charkot. Risten zamachnął się, wbijając ze świstem ostrze w brzuch Zulusa. Ten zakwilił żałośnie, po czym osunął się na podłogę. Mężczyzna szarpał się i miotał, brocząc silnie z zadanej mu rany. Risten pomógł mu, zadając mocny cios pod lewy obojczyk, co osłabiło spazmatyczne konwulsje, aż wreszcie ciało Zulusa odzyskało spokój.

Na zawsze.

– Dobrze się sprawiłeś – odezwał się do Ristena młody, lecz dojrzałe już brzmiały władczy głos.

Risten rozglądał się wokół i nie dowierzał.

Kunsztownie i ze smakiem wyrzeźbiony sufit. Szeroki żyrandol, olśniewający dodatkowo odbijającymi się na nim płomieniami świec. Nie wspominając o księciu, przed którego obliczem właśnie się znalazł. Gdyby ktoś mu powiedział, że będzie stał w książęcym zamku i do tego jeszcze miał jego głównego lokatora za rozmówcę... Z pewnością, choćby przez krótką chwilę, nie uwierzyłby, że taka sytuacja mogłaby faktycznie mieć miejsce.

Tymczasem rzeczywistość go zaskoczyła. I to pozytywnie, co akurat w jego życiu nie zdarzało się często. Może i książę przyjmował go w jednej z mniejszych i skromniejszych sal, lecz dla niego, wychowanego w dziczy, wśród bandytów, była ona wręcz przejawem przepychu i luksusu.

Zresztą nie był to czas ani miejsce na analizę jego dotychczasowego życia. Obecnie Risten musiał przede wszystkim skoncentrować się na osobie księcia. Niewiele wiedział o zwyczajach panujących na dworach i zachowaniu władców, jednak przypuszczał, że od przyjmowania różnego rodzaju delikwentów, mieli zazwyczaj innych ludzi działających w ich imieniu. Banda Zulusa musiała być rzeczywiście znaczącym utrapieniem, skoro jego książęca mość osobiście wysłuchał relacji z rozprawienia się z bandą, choć nieco skróconej, i osobiście mu dziękował. Gdy Risten opowiadał, władca parokrotnie mu się przyglądał.

– Należną nagrodę wypłaci ci, zgodnie z podaną w treści zlecenia kwotą, obecny tutaj skarbnik. – Skinął ręką na drugiego po swej lewej stronie mężczyznę w długiej tunice o ciemnych włosach, licznie już poprzedzielanych siwizną.

– Bywaj, Ristenie – rzekł książę, spoglądając na niego ostatni raz, po czym niespiesznie, lecz zdecydowanie wstał ze zdobionego tronu.

Cała towarzysząca mu wokół świta jak jeden mąż, niczym lalki na sznurkach, jednocześnie skinęła wyraźnie głowami. Risten również pochylił się, nie chcąc

wyść na nieokrzesanego dzikusa. Już po chwili w sali znajdował się on, jeden strażnik oraz skarbnik. Risten bez zastanowienia wykorzystał zmianę okoliczności na dokładniejsze i znacznie swobodniejsze rozejrzenie się.

Jego uwagę przykuł obraz w grubej, brązowej ramie. Widoczny na nim tłum, pogrążony w ciemnej zasłonie nocy, mieszał się ze sobą w brutalnej i krwawej walce. Wyzwolenie, wraz z niosącym ulgę i nadzieję świtem, nadchodziło w postaci dumnego wojska Tarelen, kroczącego ze swym ksiązęciem zwierzchnikiem na czele. Będący bezsprzecznie centralną na obrazie postacią władca, miał dużo bardziej surowe, a przede wszystkim starsze oblicze niż obecnie panujący książę. Musiał więc być to jeden z jego przodków, uznał w myślach Risten. Krążył wzrokiem dalej po rozmaitych miejscach oraz elementach pomieszczenia.

Widzący dość intensywnie obracającą się głowę Ristena skarbnik zareagował krzywym grymasem.

– Nie przyszedłeś tu na zwiedzanie – stwierdził dość chłodnym tonem, przywołując mężczyznę do siebie skinieniem ręki.

Pełne wdzięczności i poszanowania traktowanie powoli dobiega końca, stwierdził Risten w myślach.

Podszedł kilka kroków, zatrzymując się przed ksiązęciem sługą. Ten miał już w dłoni skórzany worek, zawiązany srebrną nitką. Wydawał się mieć dość konkretną zawartość. Mężczyzna wysunął rękę w jego stronę.

– Oto twoja zapłata – rzekł oficjalnie. – Co do monety, jak książę raczył powiedzieć. Możesz sprawdzić i policzyć.

Risten chwycił w garść wypchany woreczek i poczuł jego ciężar.

– Nie ma takiej potrzeby, szacowny skarbniku – odparł. – Mam zaufanie do zapewnień władcy.

Mężczyzna popatrzył na niego. Już bez zniesmaczenia, a łaskawszym okiem.

– Słuszne podejście – uznał skarbnik. – Raz jeszcze, w imieniu książęcego majestatu, wyrażamy wdzięczność za pozbycie się tego bandyckiego tałatajstwa.

Tamten mówił o bandzie Zulusa jakby to była zgraja okolicznych proszalnych dziadów, zakłócających spokój natrętnym nagabywaniem. Ciekawe, czy równie śmiało i pogardliwie scharakteryzowałby ich, mając ich w bliskim zasięgu wzroku, pomyślał Risten.

– Przekaż podziękowania również pomagającej ci w tym zadaniu dwójce towarzyszy.

– Oczywiście.

– Wyjść będzie ci najprościej tym samym przejściem. Za nim poprowadzi cię strażnik. Dobrego dnia – rzucił na koniec skarbnik, skinąwszy lekko głową, po czym skierował już uwagę i kroki do innych obowiązków.

Dwójka towarzyszy...

Risten uśmiechnął się do swoich myśli.

Kto by przypuszczał, że z nietypowych, a często wręcz księżycowych pomysłów Valdiego wyniknie tak korzystny efekt.

Mimo że to on stawiał się w książęcym zamku i on przyjął wyrazy wdzięczności (również te w formie złotej i brzęczącej), nie zapominał o swojej kompanii. Gdyby nie Valdi i Bużka nie pokonaliby tej szajki. Nie licząc drobnego rozcięcia na lewej nodze, wyszedł z całej akcji bez szwanku. A ranę udało się szybko i odpowiednio opatrzyć.

Przed wyjściem z sali Risten rzucił jeszcze przelotne spojrzenie na niecodzienne dla niego otoczenie. W końcu niewykluczone, że przebywał w takim miejscu pierwszy i ostatni raz w swoim życiu.

Tego samego dnia, wieczorem

– Do dna! – wzniósł się chóralny okrzyk ponad stół, przy akompaniamencie ciężkich uderzających o siebie kufli.

Trójka towarzyszy niemal jednocześnie przechyliła naczynia, pozwalając orzeźwiającemu piwu spłynąć po gardłach. W tle dodatkowo przygrywały im skocznie lutnia i skrzypce.

– I taki trunek mogę pić – zakrzyknął entuzjastycznie Valdi, ocierając dłonią pianę z ust.

– Tak jak niemal każdy inny – odparł sarkastycznie Risten. – Ważne, żeby miał procenty i był chłodny.

Valdi, słysząc te stwierdzenia na swój temat, głośno się roześmiał.

– I najlepiej, żeby mi je podawali co najmniej w takim kuflu – dodał, stukając zdecydowanie palcem w naczynie. – Dobrze mówię, Bużka?

Odpowiedziało mu spojrzenie łączące w sobie zniechęcenie z politowaniem.

– Moja cierpliwość, tak zaskakująco duża tego wieczoru, zaczyna się wyczerpywać.

– Nie doceniasz swoich możliwości – odparł Valdi.

Bużka westchnęła tylko krótko, upiwszy niewielki łyk, po czym odgarnęła opadający w pobliżu oka kosmyk kasztanowych włosów. Jej prawdziwe imię znali nieliczni. Właściwie, poza nią samą, nie został prawie nikt, kto mógłby go używać i obecni towarzysze kobiety nie należeli do tego wąskiego grona.

– Cieszymy się – zakrzyknął Valdi. – Pijemy i uczujemy jak zamożni kupcy. Albo co najmniej niczym wojskowi tuż po dostaniu żołdu. Nie wiem jak wy, ale ja takiej okazji nie miałem już – urwał, przez chwilę wyraźnie się zastanawiając – no, stanowczo za długo!

Risten zaśmiał się.

Valdi miał rację. Odnieśli wspólnie duży sukces. Miło jest w efekcie zaznać nieco wygody w postaci przyzwoitego jedzenia i wygodnego łóżka z solidnym dachem nad głową. Dla niego nie była to taka częsta sytuacja. Podobnie zresztą dla dwójki jego kompanów. Chociaż czy faktycznie mógł tak ich nazywać? Znali się, jak najbardziej. Los tak zrządził, że trafili na siebie swego czasu i oprócz stwierdzenia znaczących różnic pomiędzy nimi, dość szybko połączył ich jeden wspólny wniosek.

Mogą wzajemnie się sobie przydać.

I dlatego też zdecydowali się zorganizować wspólną akcję. A że przebiegła całkiem sprawnie i zakończyła się sukcesem, zdarzyło im się już kilkakrotnie łączyć siły. Zawsze rozchodzili się, każde w swoją stronę. Niezwykłe zaś, że co pewien czas udawało im się ponownie na siebie wpaść. Trzy indywidualności (lub indywidua, jak nieraz mówił o nich Valdi), każda charakterystyczna na swój sposób. Bużka uważała, że przypominali psy tropiące, których czuły węch koniec końców zawsze prowadził do określonego celu. Nawet jeśli nie mieli jeszcze pojęcia, czym on dokładnie jest.

W rogu karczmy trzech grajków umilających gościom wieczór właśnie rozpoczynało kolejny utwór ze swojego repertuaru. Tym razem z udziałem nieco przepitego, ale wciąż donośnego wokalu.

– Szanuję tych od Zulusa. Wiecie, czemu?

Żadne z nich nie zamierzało nawet próbować odpowiedzieć na to pytanie. Risten i Bużka dobrze wiedzieli, z jaką przyjemnością ich towarzysz dokładnie im to wyjaśni. W tak miłych okolicznościach nie zamierzali go tej przyjemności pozbawiać.

– Bo trzeba się było przy nich napocić. A im więcej wysiłku wymaga ode mnie przeciwnik, tym na większy szacunek może u mnie liczyć. Taka jest o mnie prawda. Tak jak to, że otwarcie drzwi do kryjówki Zulusa było niewiele trudniejsze niż splunięcie, w porównaniu z zamkami na terenie Vistenii. Ech – mężczyzna machnął zamaszycie ręką – mówię wam, co człowiek musiał się tam wtedy namęczyć. A ile nerwów przy tym było... Myślałem, że wszystko pójdzie w łeb, a ja i mój współnik skończymy z nożem pod żebrami.

– Jak zwykle nie szczędzisz miłych słów o sobie samym – odezwała się Bużka.

– I znowu się zastanawiam, co z tego jest prawdą, a co rozdmuchaniem i bajaniem...

Valdi uśmiechnął się szeroko, szczerze rozbawiony kolejnym trafnym komentarzem pod swoim adresem, tym razem ze strony Bużki.

– Sześć tysięcy złotych koron – rzekł mężczyzna, delektując się każdym z tych słów. – Jak rozsuptałeś ten trzos, Risten, i uchyliłeś jego zawartość, aż mi zabrakło na chwilę języka w gębie.

– Szkoda, że ten wyjątkowy moment nie mógł trwać dłużej – wtrąciła Bużka.

– Dla takiego widoku warto nadstawiać karku – stwierdził, nie reagując tym razem na wtrącenie kobiety. – Zaiste, piękny widok. I jak pięknie mogliśmy to podzielić. Po dwa tysiące na głowę, ilość równa jak opuchlizna na obu policzkach natrętnego gacha.

Tym razem Bużka parsknęła śmiechem. Tak bardzo, że o mało nie zadławiła się kawałkiem kurczaka z obgryzanego skrzydełka. Odruchowo sięgnęła po piwo,

popijając kilka łyków. Buźce nie przeszkadzało, że jej kufel ociekał gdzieś tam mięsny tłuszcz. Ani tym bardziej nie przeszkadzała kobiecie naturalna konsekwencja ręcznego pałaszowania kurczaka, czyli jej dłonie, obecnie jeszcze bardziej niż kufel, umorusane tłuszczem. W otoczeniu, do jakiego nawykła, takie zachowanie nie było niczym dziwnym. A tak już potoczyło się jej życie, że przebywała głównie w męskim towarzystwie, co przy kobiecej figurze i delikatnej urodzie nieraz nastręczało jej dodatkowych trudności.

– Nad czym tak myślisz, Buźka? – odezwał się Valdi, wyrывая ją z rozmyślań.

Ta powoli zwróciła oczy w jego stronę.

– Nad wyborem przyjaciela na dzisiejszą noc? – spytał, szczerząc się.

– Doceniam twoją troskę, Valdi, ale nie musisz się rozglądać za znalezieniem mi towarzystwa – odparła, wywołując u mężczyzny parsknięcie śmiechem.

I tak to właśnie między nimi było, pomyślał Risten. Valdi rzadziej lub częściej używał zaczepnych, niezbyt wyszukanych uwag i spostrzeżeń w kierunku Buźki, a ona odpowiadała mniej lub bardziej, jednak zawsze sarkastycznym komentarzem. Najdziwniejsze i najbardziej zaskakujące było w tym wszystkim to, że żadna ze stron nie zdawała się mieć tego dość. Nigdy.

W takich jak owa wymiana zdań momentach, Risten, jakimś niejasnym i niewytłumaczalnym dla niego sposobem, czuł się lepiej. Mógł być spokojny, że jego myśli nie uciekną ku skomplikowanej przeszłości czy też niepewnej przyszłości.

Liczyło się tu i teraz.

Bo to właśnie ta dwójka, w odróżnieniu od tak wielu napotkanych przez Ristena ludzi, była zdolna przebywać dłużej w jego towarzystwie. Odetchnął powoli i głęboko, po czym zatopił zęby w soczystym kawałku mięsa.

„Gdy wzdychasz posępnie, optymizmu za grosz nie masz, to wszystkie twoje smutki tym złotym trunkiem polewasz” – niosły się po karczmie słowa pieśni, którą znacząca część bywalców gospody zdawała się znać i ochoczo to potwierdzała.

– A wracając do zakłóconego przez to wycie tematu – odezwał się Valdi – sam mógłbym zapoznać jeszcze jakąś nową znajomą.

– Tylko uważaj – odparł Risten.

Przez twarz Bużki przemknął grymas rozbawienia.

– Niby na co? – spytał zaskoczony.

– Na...

– ...kondycję twoich finansów – wtrąciła się w słowo Bużka. – Żeby od towarzystwa przyjaciółki, nie osłabła zanadto do rana. I nie tylko ta kondycja...
– powiedziała, uśmiechając się filuternie.

Mężczyzna również i tym razem zareagował rozbawieniem, choć dało się dostrzec, że jego wyraz twarzy stał się nieco mniej entuzjastyczny niż przed chwilą. Risten nie dokończył już tego, co chciał powiedzieć. Komentarz ich towarzyszek był wystarczający. Zresztą domyślał się, że kobiecie ciężko będzie przemilczeć taki temat.

– Nie ma niczego zdrożnego w korzystaniu z profesjonalnego i zawodowego traktowania. Raz na jakiś czas, oczywiście.

Wziął do ręki jedną z monet stanowiących jego część zapłaty.

– Szkoda tak ciężko zdobytych pieniędzy na pierwszą lepszą dziwkę. Tutaj pewnie zaśpiewają sobie nie lada sumkę już za pierwszą chwilę bliskiego obcowania.

Bużka tym razem powstrzymała się od złośliwego komentarza. Choć z trudem.

– Jak już masz się kurwić, to chyba lepiej ci będzie w takim mieście, niż na jednej czy drugiej zapyziałej prowincji? – spytała.

Mężczyzna wyduł usta.

– W zasadzie mógłbym przyznać ci rację... Tyle że ja, droga Bużko, na jednej czy drugiej prowincji, jak to ujętaś, mam dość niezłe rozeznanie. Wiem gdzie można liczyć na właściwe potraktowanie za rozsądną cenę, a w jakich miejscach nawet się nie pojawiać, choćby za dopłatą. A tutaj – rozłożył bezradnie ręce – jestem jak dziecko we mgle. – Pociągnął łyk z trzymanego w ręku naczynia. – Ale to stan przejściowy – dodał.

Risten zamyślił się. Posiedzą jeszcze trochę w tej karczmie, wychylą kilka kolejek, pośmieją parokrotnie i wieczór się skończy. Przyjdzie kolejny dzień, zbiorą się z gospody i każde z nich pójdzie swoją drogą. Zawsze tak z grubsza to przebiegało, czemu więc ten raz miałyby być inny? Zwłaszcza że zdobyta dzięki ksiądzemu zleceniu gotówka była cennym wsparciem w prowadzeniu przyzwoitego jak dla nich życia. Przynajmniej na pewien czas.

Tymczasem w stronę ich stolika, mocno rozchwianym krokiem, zbliżał się zbłąkany biesiadnik.

– Ktoś zdaje się spragniony naszego towarzystwa – stwierdził Risten, zauważywszy mężczyznę.

– A jeszcze bardziej naszych monet, pozwalających zamienić się w solidny napitek – skwitował Valdi.

Mężczyzna dotarł do stolika, łupnął z hukiem rękami, robiąc sobie z nich jako taką podporę.

– Do piweczka dorzucić się raczcie, dostojny panie i szlachetne damy – rzekł, wyciągając rozłożoną rękę. Prawdopodobnie on sam nie wiedział, kogo z ich trójki uznał za przedstawiciela której płci.

Zwrócił się w stronę Bużki, wybełkotał coś i zionął oddechem niemal prosto w jej twarz. Kobieta skrzywiła się, odsunęła odruchowo, po czym sięgnęła do kieszeni, wyjmując dwa lśniące krążki. Przesunęła je wzdłuż stołu.

– Masz. Wypij do dna – rzuciła krótko.

Mężczyzna ponownie wybełkotał coś, co miało być podziękowaniem, skinął głową, niebezpiecznie pochylając się całym ciałem do przodu, po czym wyprostował się, odszedł i skierował się w stronę lady.

– Napijmy się jeszcze – odezwała się Bużka. – Ostatni toast – dodała energicznym, pogodnym głosem, patrząc po obliczach obu swoich współników i współbiesiadników.

Cóż, w końcu nic nie mogło trwać wiecznie, pomyślał Risten. Nawet ich świętowanie po dobrze zrobionej robocie.

– Nasze zdrowie! – zakrzyknął Valdi. – Niech nam te uczciwie zarobione pieniądze dobrze służą – dodał do toastu, zamaszystym ruchem wznosząc w górę kufel, o który ostatni raz tej nocy uderzyły dźwięcznie dwa pozostałe.

Risten uśmiechnął się smutno i wychylił do dna piwo.

– Risten? – Usłyszał nieoczekiwanie tuż nad swoim lewym ramieniem. Nie spodziewał się, żeby ktokolwiek w tym mieście mógł o niego pytać. A tym bardziej ktoś mający dyskretny, lecz widoczny dla wytrawnego oka książęcy emblemat. Mimochodem zacisnął nerwowo pięść i przełknął ślinę.

– To ja – odparł sucho i zdawkowo, patrząc na niespodziewane towarzystwo.

Próbował otaksować mężczyznę wzrokiem. Starając się zrobić to nieostentacyjnie, chciał wyczuć, choćby w najmniejszym stopniu, z jakiego rodzaju intencją pojawił się tutaj przedstawiciel książęcego tronu. Czyżby

jakimś dziwnym i złośliwym zrządzeniem losu zamiast ciepłego łóżka gospody miał spędzić noc w zimnym, obskurnym lochu?

– Nie obawiaj się, nie spotka cię nic złego. – Usłyszał Risten. – Wręcz przeciwnie.

Koń stanął w miejscu, na ubitej ziemi traktu, i parsknął przeciągle, skręcając tułów w przeciwną stronę. Jadący na nim Risten pociągnął za uzdę.

– Nie, nie będziemy skręcać w lewo – powiedział stanowczym głosem.

Pierwszy raz w życiu miał wrażenie, jakby próbował negocjować z koniem. Nie zdarzyło mu się jeszcze trafić na wierzchowca tak niepokornego i zawzięcie próbującego postawić na swoim zdaniu, dziwnym trafem odmiennym od tego, jakie akurat miał Risten.

Jadący najbliżej niego dwaj żołnierze nie wahali się podśmiewywać pod nosem z tej nowej dla Ristena sytuacji. Nie przejął się tym. W końcu zwierzę nie było aż tak narowiste, żeby miał na nim pomknąć kawał drogi w zupełnie przeciwną stronę, gdzieś w głąb lasu, czy też wypaść z siodła do natrafionego akurat jeziora. Tak więc nie groził mu poważny blamaż, robiący z niego pośmiewisko. Poza tym nie ulegało wątpliwości, że miał się z czego cieszyć. W końcu właśnie jechał na wyprawę pod sztandarami Tarelen, otoczony przez liczny oddział armii, z ich najwyższym zwierzchnikiem we własnej osobie na czele, któremu to Risten teraz również podlegał. Mogąc liczyć przy tym na całkiem sowite dla jego kieszeni traktowanie. Kiedy usłyszał tę propozycję w karczmie, nie dowierzał własnym uszom. Ledwo był w stanie wydusić, że się zgadza.

Czyżby wreszcie dostał szansę na lepsze ułożenie swojego życia?

* * *

Był środek popołudnia, gdy zatrzymali się na postój. Niedługi, wręcz możliwie jak najkrótszy. Jedni przysiedli na ziemi, inni stali, by rozprostować mięśnie. Podzieleni na kilka niewielkich grup, rozglądali się po wciąż swojsko wyglądającej okolicy wypełnionej kupieckimi wozami i rozmawiali na wszelkie tematy, jakie zajmowały ich myśli.

Najmocniej rozdyktowana była grupka najbardziej liczna, zajmująca niemal krańcową część równiny. Prym wiódł obecnie mężczyzna wysoki, o posturze przeciętnej jak na tutejsze standardy. Nie sprawiał jednakże wrażenia, jakby to wpływało na niego niekorzystnie.

– Widzi mi się, że ledwie siedliśmy, a zaraz będziemy ruszać z powrotem – powiedział do swoich towarzyszy Dherus, jeden z najstarszych stażem i wiekiem na tej eskapadzie.

Przysiedli w kilku, podczas gdy ich konie posilały się paszą.

– No to powiem wam – odezwał się inny – jeden taki przypadek mi wystarczy, żeby wiedzieć, że będzie nas cisnąć.

– Też mi zaskoczenie – odparł Dherus. – Nietrudno się domyślić. Płaci przyzwocie, znaczy wymagający będzie. – Wzruszył ramionami.

– Co tu dużo gadać, młody władca dynamiczny jest, ot co – stwierdził krótko Piękniś. – Nie chce gnuśnieć na tronie i w słusznym celu z Tarelen wyruszył. Prostego żołnierza docenia nie tylko uczciwym pieniądzem, ale i swoją własną obecnością – skwitował, kiwnąwszy mocno głową.

– A tobie sygnął dodatkowym żołdem, coabyś tak agitował za nim? – odparł Dherus, nie próbując nawet ukryć swojej irytacji.

– Przymknij się! – Rozeźlił się Piękniś.

– Co, zabronisz mi gębę otwierać? – warknął Dherus. – Mam coś do powiedzenia, to się odzywam. Książę parł na tę ekspedycję bardziej niżli wiejski młokos na zabranie urodziwej dziewczuchy na stóg siana. W trymiga dowódca zebrał nas do kupy i ani się obejrzeliśmy, jesteśmy w drodze.

– Za dużo główkujesz, Dherus – stwierdził Arnold, będący jednym z najlepiej zbudowanych uczestników wyprawy z Tarelen. – Stary wyjadacz z ciebie, a doszukujesz się na siłę ukrytego motywu tam, gdzie go nie ma.

Pewność w głosie oraz postawie żołnierza odwołała pozostałych mężczyzn od odzywania się w omawianym temacie. Choć nie wszystkich.

– Może według ciebie żołnierz powinien być jak sprawny cep. Dobrze walczący, ale durny i niemyślący, co najwyżej o napiciu się, nażarciu i pospaniu... Traf chciał, że spędziłem już długi czas w książęcych zastępach. Ale tak sprawne uwinięcie się i ruszenie oddziału, jeszcze z księciem na dodatek... Rzadka to rzecz.

– Rzadki to ty masz stolec z rana! – zakrzyknął Arnold, wywołując u co poniektórych parsknięcie śmiechem.

– Durny ty! Oleju do głowy można by ci pół dnia wlewać, a i tak wszystko spłynęłoby na ziemię. Mało, że tyle nas żołnierskiej siły poszło, to i jeszcze paru rębajłów idzie z nami.

– A ty to może jesteś prawy rycerz na białym koniu? – parsknął jeden z mężczyzn.

Jednak Dherus nawet nie zwrócił uwagi na jego zaczepkę.

– Taka prawda, jeden typ bardziej podejrzany od drugiego...

– Choćby ten... zaraz, jak to mu jest... Risten.

– Co racja, to racja – wtrącił się niespodziewanie w dyskusję milczący dotąd Kerbos. – Wczoraj tak się złożyło, że nóż podręczny, co to go zawsze przy sobie noszę, mi się stępił. A akurat na jabłko ochotę miałem i...

– Do rzeczy – ponaglił go ktoś z tyłu.

– Trafiło się, że właśnie na tego najemnika spojrzałem. Bo całkiem blisko mnie akurat przystanął. Cały oddział zatrzymał się na chwilę, czekając aż zwiadowcy wrócą. Podchodzę do niego i pytam, czy noża na użyczenie akurat nie ma. Popatrzyłem na jego twarz... i coś okropnego przemknęło przez nią. Cień jakiś złowrogi. I w oczach błysk miał taki... Aż mnie cofnęło o parę kroków, mało się o wystający kamień nie potknąłem.

– Wydawało ci się – stwierdził Arnold, popijając gorzałki. Otarł usta dłonią wielką jak bochen chleba. – Pewnie cień drzewa tak padał, a resztę sobie dośpiewałeś.

– Nic mi się nie wydawało – odparł z przekonaniem Kerbos. – Tak było.

– Jakby nie było – wtrącił Dherus – mamy podejrzanych typów obok regularnych żołnierzy. Tu chodzi o coś poważnego. Ukrywają przed nami prawdę.

– Lepiej bądź ostrożny – stwierdził Risten, który właśnie pojawił się obok mężczyzn. – Jeszcze każą przypiekać cię rozgrzanym żelastwem za zbyt usilne dążenie do tej prawdy.

Wśród zebranych żołnierzy przeszedł szmer rozbawienia.

– Dzięki za radę – odparł chłodnym tonem Dherus. – Jak przyszedłeś posiedzieć tu z nami, pogadać, to niestety, ale pechowo się składa.

Risten przechylił nieco głowę.

– A to czemu?

Mężczyzna wychylił znacząco głowę w stronę reszty oddziału.

– Dobrze mi się zdawało. Trębacz zbiera się do roboty. Będzie sygnał, że koniec postoju.

– Pech, rzeczywiście – przyznał Risten.

Spojrzał wymownie na trzymaną w ręku przez Arnolda manierkę.

– Chociaż gorzałki łyknę nieco. Będzie rażniej jechać.

– A proszę. Może coś jeszcze na dnie zostało – odparł, rzucając Ristenowi buktał.

Ten złapał go pewnym ruchem. Otworzył, przechylił do gardła. Powolnym tempem poleciała kropla, którą ledwo zdołał poczuć... i było po gorzałce.

– Tak jak mówiliśmy – odezwał się Arnold, patrząc na Ristena wymownie. – Pecha dzisiaj masz.

Przez obóz dało się słyszeć dźwięk trąby, niechybnie wieszczącej koniec krótkiego popasu. Żołnierze zaczęli się podnosić z ziemi. Jeden po drugim zbierali się do dalszej drogi. Risten stał, bez słowa odprowadzając ich wzrokiem.

– Więc ty też tu jesteś – odezwał się do Kerbosa, zbierającego się nieco wolniej. – Tak dziwnie się wtedy zachowywałeś, jak już dałem ci ten nóż. Jakby cię nagle piorun strzelił.

– Aaa – machnął ręką – tak mnie coś w plecach załupało. Zdarza mi się czasem. Wtedy to o niczym innym nie idzie myśleć, jak o tym pieruńskim bólu. Starczy jednak, że poleżę trochę na twardym i już mi lepiej – odparł wyjaśniająco.

– Wścibski nie jestem, ale nie sprawiałeś wrażenia jakby cię niespodziewanie jakaś dolegliwość dopadła.

Mężczyzna przetknął nerwowo ślinę.

– To i dobrze o tobie świadczy, że nosa nie wściubiasz w nie swoje sprawy...
A teraz do wymarszu trzeba się szykować! – dodał, odchodząc rażnym krokiem.

– A ten nóż odzyskam od ciebie kiedyś? – rzucił za Kerbosem donośnie, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

– Zgraja przygłupów. – Usłyszał głos zza ramienia. – Szkoda mi było strzępić język podczas tej całej ich dyskusji... Czasem to sobie myślę, z kim to człowiekowi przyszło przebywać. – Mężczyzna pokręcił głową i westchnął krótko. – Ale też co zrobić? Przecież nie rzucę nagle wszystkiego w cholerę i nie pójdę na żebry. Za duża konkurencja – stwierdził, śmiejąc się.

Popatrzył na Ristena i wyciągnął w jego stronę rękę, trzymając w niej niedużą manierkę.

– Własnej roboty. Śmiało, gołnij sobie.

Risten wziął manierkę od niego, pociągnął tyk. Zakaszlnął.

– Mocne. I słodkie – stwierdził.

– Nalewka. Nie ruszam się bez niej z miasta. Według przepisu mojej babci – powiedział rozrzuwnionym głosem. – Staruszka dawno już opuściła ten świat, ale co nieco po sobie zostawiła – powiedział z satysfakcją, wymownie stukając palcem manierkę.

– Dziękuję ci.

– Drobiazg. Normalna rzecz na zbrojnej wyprawie jak ta. Poza tym – uśmiechnął się pod nosem – mam jej jeszcze trochę w zanadru. W szczerym polu ciężko o warunki, żeby dało się jej zrobić, także poczyniłem odpowiednie zapasy.

Risten odpowiedział przelotnym uśmiechem.

– Dezmond – przedstawił się mężczyzna, wyciągając dłoń.

– Risten – odparł, chwytając rękę Dezmonda w mocny uścisk.

– Zawsze to dobrze wiedzieć, komu człowiek użycza przyzwoitego trunku – stwierdził, tym komentarzem rozbawiając Ristena.

Ponownie usłyszeli długi, donośny dźwięk trąby.

– Kolejny sygnał. Będzie już trzeci – skonstatował Risten. – Chodźmy. Trzeba siadać na konie i w drogę.

– Ano w drogę, w drogę – przytaknął mężczyzna.

Nie licząc krótkiej rozmowy z Dezmondem, Risten wciąż jechał osamotniony, jakby niemal każdy unikał jego obecności na tyle, na ile było to możliwe. Zdążył już usłyszeć na swój temat, że jest przybłądą, rębajłą wziętym na doczepkę i jak to w głowie się nie mieści, że tacy jak on są zabierani równorzędnie z normalnymi, porządnymi żołnierzami.

Całkiem sporo jak na pierwszy dzień, pomyślał cierpko.

Nie tylko on znajdował się w podobnej sytuacji. Również dwóch innych mężczyzn było zwervbowanych na kontrakcie. Tyle że miał wrażenie, iż na niego pozostali patrzą ze szczególną niechęcią... Nie mógł powiedzieć, że taki stan rzeczy stanowił dla niego dużą niespodziankę. I to właśnie było najbardziej dołujące.

Przynajmniej dzień w podróży z wolna dobiegał końca. Słońce z lekkiego pomarańczowego odcienia przechodziło już w wyraźną, intensywną czerwień, zniżając się coraz bardziej za horyzont.

Nadeszła pora na postój. Tym razem już dłuższy, trwający całą noc.

Risten rozłożył swój namiot. Nawet pomyślał przez chwilę, czy nie poszukać Dezmonda, by zamienić z nim kilka słów. Zmęczenie jednak dało o sobie znać. Risten postanowił z nim nie walczyć.

Kolejne dni mijały im spokojnie. Przemieszczali się sprawnie, będąc już dawno poza ziemiami należącymi do księcia. Obecnie żołnierze mieli wrażenie, że poranne wymarsze następują szybciej. Zupełnie jakby książe szukał sposobów, by oddział podróżował jeszcze sprawniej.

Nie mijali po drodze większych dolin ani też wzniesień. Teren był mocno równinny, niemalże płaski. Mimo kwitnącej zieleni, przyroda prezentowała się dość ubogo. Sosny i lipy były jedynymi drzewami, jakie obecnie widzieli, a i te występowały pojedynczo i sporadycznie.

Ten dzień zdawał się niemal nieodróżnialny od poprzednich, a czas spędzony w siodłach mogli liczyć już w godzinach. Jechali spokojnym tempem, gdy nagle ktoś wyłonił się z pobliskiej doliny.

– Kim mogą być ci ludzie? – rzucił pytaniem książe.

– Na pewno nie są to zbóje ani inna obdarta zgraja, panie – odezwał się Gentros, dowódca. – Wyraźnie jadą w szyku.

– Mają nawet porzecz, wasza wysokość – zauważył będący u boku władcy doradca.

Wychylił się naprzód w siodle, przymrużył oczy.

– Jasnej barwy kształt na niebieskim tle.

– Mesteria. To ich porzecz. Uspokój żołnierzy, nie będą potrzebowali sięgać po broń.

– Oczywiście, panie.

– Jeszcze chwila i dojadą tutaj. Możemy się zatrzymać – stwierdził książę.

Spojrzał przelotnie na swój sztandar, wznoszący się wyraźnie w górę, chwytający promienie słońca.

Nadeżdżający oddział zatrzymał się w pewnej odległości od książęcego zastępu, wystarczająco blisko, by w razie potrzeby, w mgnieniu oka pokonać dzielący go dystans. Dwóch ludzi cofnęło konie o dwa kroki, na przedzie zaś znalazł się ich dowódca.

– Bądź pozdrowiony, mości książę, władco Tarelen – odezwał się uroczyście, skinąwszy wyraźnie głowę.

Książę odpowiedział lekkim, lecz zauważalnym skinieniem.

– Cóż to sprowadza cię w okolicę ziem Mesterii, szlachetny panie?

Mężczyzna spojrzał na będących za plecami władcy żołnierzy, przelotnie, lecz wymownie.

– Słuszny i chwalebny cel – odezwał się władca. – Na północy grasuje groźna bestia, zbyt długo już zakłócając swoim żywotem spokój tamtych ziem. Zmierzam właśnie na czele tej wyprawy, by ją zabić. Rozumiem twoje początkowe zdziwienie na widok moich sił, ze sztandarem i mną samym na czele. Ktoś mógłby pomyśleć, że przybywam z jakimiś zbrojnymi zamiarami – prychnął dla podkreślenia niedorzeczności tej możliwości. – Recz jasna byłoby to ostatnią moją intencją, wzbudzić afront twego władcy oraz Tizonii, wszak jest to wasz zaufany sąsiad. Z tego co powszechnie wiadomo, niekrótka droga prowadzi właśnie w pobliżu waszych ziem.

– To szlachetne działanie, bez wątpienia. Kto wie, co dokładnie tam się czai? Niewykluczone nawet, że żadnego potwora tam nie ma.

– Jest i taka możliwość, nie przeczę. Wtedy z radością i ulgą będziemy mogli głosić, że jest o kolejne plugastwo mniej na tym świecie. Ktoś wreszcie powinien się o tym przekonać – dodał ze szczególnie wyrażoną wyższością.

Dowódca odchrząknął krótko, chcąc w ten sposób ukryć zakłopotanie.

– W rzeczy samej, panie – odparł krótko. – Zapewne zdajecie sobie sprawę z naszych dopiero co zakończonych konfliktów, targających Mesterię i Tizonię jednocześnie. Niemniej jednak muszę was ostrzec. Choć najgorsze wydaje się być za nami, wciąż nękają nas buntownicy. Już nieliczni, na całe szczęście, ale szczególnie zaciekli. Są jak wściekła bestia, prawda że zbyt osłabiona, by zagrażać całemu wioskom w okolicy, lecz jeśli nadarzy jej się okazja, nadal potrafi dotkliwie pokąsać. Patrol, który prowadzę, jest tutaj właśnie z tego powodu. Stępić kły buntującej się bestii.

– Jestem zaznajomiony z problemami nękającymi te ziemie. Zachowanie tych ludzi jest wręcz niepojętnie karygodne. Mogę zrozumieć pobudki, które nakazują komuś stawiać opór i się zbuntować. Ale w sytuacji ostatecznej przegranej, przy zawarciu rozejmu, obrażać się na rzeczywistość i dalej pozostawać rebeliantem? Nawet nie zasługują na to miano. Obecnie są niczym zwykli, parszywi bandyci.

– Trudno się z tym nie zgodzić, mości książę – odparł dowódca.

Wypowiedziany tak dosadnie pogląd władcy, wyraźnie dodał mu wewnętrznej otuchy.

– Będziemy oczywiście czujni. Może nawet przydałoby nam się natknąć na jedną czy dwie watahy. Moi żołnierze mieliby okazję nieco się rozruszać – stwierdził książę z lekkim rozbawieniem.

Dowódca zaśmiał się, lecz raczej nieumiejętnie zakamuflował swój brak rozbawienia tymi słowami.

– Mimo wszystko uważajcie, panie. Dopóki jesteście w pobliżu naszych ziem rzeczywiście powinno być spokojnie. Część tych buntowników uciekła jednak dalej, na północ. Niektórzy z nich są jak obłąkani...

– Mam tego świadomość.

– Mimo napiętych warunków nie godzi się, żebyś przejechał w pobliżu naszych ziem bez odpowiedniej gościny. W imieniu władcy Mesterii – mężczyzna skłonił się w dwornym geście – serdecznie zapraszam do naszego królestwa, ciebie, księżę, wraz z twoimi ludźmi, rzecz jasna.

Władca odpowiedział szerokim uśmiechem, choć kąciki jego oczu nawet nie drgnęły.

– Niezwykle doceniam tak szczerą, serdeczną propozycję. Zdaję sobie jednakże sprawę, że postawiłbym tym Mesterię w kłopotliwej sytuacji. Pojawiać się nagle, bez zapowiedzi, w gościach, tak licznie... Mam jednak nadzieję, że przekazesz ode mnie swemu zwierzchnikowi głęboki ukłon i serdeczne pozdrowienia. Stanowczo zbyt długo już się nie widzieliśmy. Liczę na nadrobienie tychże zaległości w niedługim czasie. Jeśli okaże się, że nie ma innego sposobu na pozbycie się stąd tych szumowin, moje oddziały będą gotowe wesprzeć Mesterię.

Przy tym ostatnim zdaniu dowódca prawdziwie się napocił, by ukryć swoje wzburzenie.

– Oczywiście, mój panie. Przekażę co do słowa.

– Doskonale. Dobrze się stało, że trafiliśmy na siebie. To tylko dowodzi, że ludziom o pozytywnych zamiarach – księżę wykonał zamaszysty łuk ręką, wskazując wyraźnie na swój oddział, jak i siły Mesterii – sprzyjają los i fortuna.

Dowódca na znak, że zgadza się z tymi słowami, przytaknął skinieniem głowy.

– Pora ruszać nam dalej. Bywajcie!

– Nam również. Żegnaj, książę – rzucił, po czym skinął ręką na ludzi za jego plecami i ruszyli dalej, w głąb polany.

Gentros dał znak ludziom do kontynuowania podróży. Książę wymieniał z nim jeszcze kilka drobnych uwag. Już wcześniej miał dobry nastrój, lecz teraz wyraźnie mu się polepszył. Ucieszyło go to spotkanie z oddziałem sił Mesterii. I to bardziej niż mógł przypuszczać.

Pretekst o wybraniu się na żyjącą na odległych ziemiach bestię się sprawdził. Wyobrażał sobie reakcję tego pyszałka, gdy dowódca zda mu raport z tego spotkania. Niech sobie dalej myśli o nim jako młodym, nadętym władcy, realnie w niczym mu niezagrożającym. On i ten drugi z Tizonii zostaną wyprowadzeni z tego błędu w odpowiednim czasie...

Gdy tak jechali swoją określoną drogą, żołnierze pograżali się w rozmowach, dyskusjach i rzucaniu komentarzy.

Szczególnie ożywiał się dialog prowadzony przez grupę czterech mężczyzn, jadących obecnie na tyle oddziału.

– Ciekawe, o czym gadali tak długo. Ile można wymieniać grzeczności? – zastanawiał się Kerbos.

– A to nic nie wiesz? – odezwał się Arnold.

– Jakbym wiedział, to bym się nad tym nie zastanawiał. A ty słyszałeś jak rozmawiali? Niby jak, skoro stałeś raptem kilka metrów przede mną.

– Umiem się dowiedzieć tego, co potrzeba. – Zmrużył oczy. – Książę zapoznawał tego pyszałka z Mesterii z celem naszej misji.

Pozostali żołnierze wybałuszili oczy w zdumieniu.

– To nam się gównem mówi, a obcemu żołnierzowi wyklada się wszystko jak na tacy?

– Książę powiedział mu to, co i u nas gadają – odparł Arnold. – Oto idzie ubić poczwarę na dalekiej północy.

– Ja o tym nie słyszałem. I twoim zdaniem to bujda?

– Głowy za to sobie uciąć nie dam. Ale widzi mi się, że tu idzie o coś innego.

– Czyli o co? – dopytywał Kerbos.

Arnold wzruszył bezradnie ramionami.

– Nie siedzę w głowie księcia, żeby to wiedzieć – powiedział wyraźnym, choć nieco ściszym głosem. – U kilku władców już służyłem i zdążyłem się przekonać, że to co mówią oficjalnie, nie ma nic wspólnego z prawdą. Cokolwiek to jest, cel wyprawy jest bardzo cenny. Skoro mości książę bierze w niej udział...

– Też mi rewelacje – machnął ręką Kerbos. – A przez chwilę ci uwierzyłem, że naprawdę możesz coś wiedzieć.

– Pomyślcie chwilę, no! – zakrzyknął Arnold. – Książę niemałego państwa, idący osobiście szmat drogi z kilkunastoma zbrojnymi. Przecież nie idziemy przez dzicz, przynajmniej jeszcze nie teraz. Inni władcy zaraz gotowi będą zacząć węszyć. A po co to, na co to? Co takiego knuje Tarelen, czy im to nie zaszkodzi?

– Polityka... – skomentował krótko jeden ze słuchających żołnierzy, nie kryjąc obrzydzenia, aż splunął siarczyście za ramię.

– I co na to nasz książę? Ano książę jest młodym, pewnym siebie władcą, który pragnie pokazać wszystkim innym, jaki to jest mężny i niezwykły. I tak oto wyrusza po chwałę.

Kerbos pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Coś w tym może być... I ci, co ich ziemie obecnie mijamy, uwierzą w to?

– To się okaże – odparł krótko Arnold. – Na pewno to, że mają swoje problemy, zmniejsza ich chęć do rozmyślania, co tak dokładnie zamierza nasz książę. W końcu nie wyrusza podbić ich ziem, to nie będą zaledwie się nim przejmować.

– Gadać możemy tak do rana i nie dojdziemy jak jest naprawdę.

Na to stwierdzenie jednak żaden z mężczyzn już nie odpowiedział.

Polana upstrzona była gęstymi krzakami, które to wznosiły się oniesmielone w cieniu rozłożystego jesionu, sięgającego dumnie ku niebu. Po okolicy niósł się zapach świeżo przypieczonego mięsa oraz donośne mlaskanie pałaszującego swój gorący posiłek osobnika. Mężczyzna w ciemnej, skórzanej kamizelce ze spokojem siedział na pniu. Dwóch ludzi stało niedaleko, zawzięcie coś wyliczając.

– Niby jak to zrobisz, że tyle udało ci się zyskać?

– Ma się tę głowę do interesów – odparł, wywołując u swojego rozmówcy głośny rechot.

Niewielkie ognisko dogasało właśnie, tracąc swój czerwony blask. Ostatnie trzaski płomieni niosły się w tle.

– Dorzuć no tam! – Łysy mężczyzna trącił ręką siedzącego najbliżej towarzysza.

– Nie rozkazuj mi!

Pozostała trójka, siedząca razem z nimi, zaczęła się wymownie szturchać.

– O ognisko to się jeszcze nie żarli.

– Ha, toś chyba wtedy spał, że nie pamiętasz, jak...

Tę niewyszukaną rozmowę przerwał zwiadowca, wracający właśnie do obozu.

– Jacyś konni jadą w tę stronę.

Mężczyzna siedzący na pniu był wyraźnie zaskoczony.

– Zaledwie wczoraj przetrzebiliśmy jeden patrol, a już dzisiaj pojawia się następny. Ale zawzięci się robią ci z Tizonii! – zakrzyknął mężczyzna, aż klasnął ręką o udo.

– To nie oni.

Oczy kilku mężczyzn się rozszerzyły.

– A co to, jacyś naiwni wędrowni kupcy zbłądzili w te strony, hę?

Tamten momentalnie zgasił rosnącą powoli w nich nadzieję, kręcąc głową.

– Dajcie mu wreszcie powiedzieć – odezwał się nagle mężczyzna w ciemnej, skórzanej kamizelce.

Wydawał się przy tym tak niepozorny. Temu złudnemu wrażeniu ulegał niemal każdy, kto widział go po raz pierwszy.

– To oddział kilkunastu żołnierzy, w pełni uzbrojonych, jadący z całym taborem. Mają sztandar swego państwa.

– Tizonia czy Mesteria?

– Żaden z nich. Tamte dwa dobrze kojarzę. Sztandar, który się tu zbliża, jest z jakichś dalszych ziem.

Tym razem nikt nic nie powiedział. Wszyscy zamarli w milczeniu.

Mężczyzna zajmujący pień wstał i kilkoma krokami przybliżył się do reszty.

– Jak trzeba było słuchać, mówiliście niemal jeden przez drugiego – odezwał się. – Teraz nikt nie chce puścić pary z gęby!

– Co w takim razie proponujesz zrobić, Dansonie?

Danson odwrócił głowę w stronę pytającego.

– Uszczupliliśmy siły tamtego patrolu wczoraj, nie da się ukryć. Tak jak nie da się ukryć, że oni nadszarpnęli naszą liczebność. I to znacząco...

– Gadanie i gadanie. Jest okazja porachować kości, to trzeba z niej korzystać i się nie zastanawiać. Ja mogę i lewą ręką ubijać.

Mężczyzna, słysząc ten komentarz, przewrócił oczami.

– Nawet nie masz innego wyjścia, bo prawą masz obecnie poharataną. Jak tylko ją zegniesz, z bólu rzucasz kurwami. Poza tym, ci co zbliżają się w naszą stronę, w żaden sposób nam nie zawinili. To nie przez nich się zbuntowaliśmy. Nawet nie wiemy dokładnie, skąd są. Jaką drogą zmierzają? – Zwrócił głowę w stronę zwiadowcy.

– Od północnego wschodu. Wystarczy, że któryś z ich ludzi sprawdzających okolicę przejdzie nieco w bok i musiałby nie widzieć na jedno oko, żeby nas nie zauważyć.

– Chcesz powiedzieć...

Danson z wyraźną niechęcią w oczach przytaknął.

– Nie ma absolutnie żadnego powodu, by ryzykować. Podstawić głowę pod miecz to żadna sztuka. A i zyskanie nowych wrogów na nic nam się nie zda.

Ukrywał to wręcz doskonale, ale odczuwał niezwykle opór i wstręt, musząc wypowiedzieć te słowa.

– Zabieramy się stąd. Migiem!

– Dokąd?

– W głąb lasu. Dalej od trasy przemarszu tego oddziału. Pozwolimy im nas wyminąć.

Przez obóz przeszedł pomruk zdziwienia, a nawet niezadowolenia. Nikt jednak się nie sprzeciwił. Żaden z nich nie zaproponował innego wyjścia.

Z niechęcią, przeklinając pod nosem, zaczęli sprawnie zbierać się do drogi. Do Danson podszedł mężczyzna.

– Nie mogę nie przyznać racji twojej decyzji, ale krew mnie zalewa, że uciekamy przed tymi ludźmi z podkulonym ogonem.

– Nie tylko ciebie.

Zaskakujące. Danson rzekł tak niewiele, ale dla jego rozmówcy ważny był ton tej wypowiedzi. Istotne było także to, co ten dostrzegł w oczach i twarzy mężczyzny.

Porzucił obawy, że przywódca ich grupy jest tchórzem. I jednocześnie zyskał pewność, że przy tym dowódcy nadal mogą wyjść na swoje. A także zachować twarz.

Pod gęstniejącymi chmurami i nieprzychylnie wyglądającym brunatnym niebem, ekspedycja z Tarelen pewnie podążała naprzód. Przed oblicze księcia zbliżał się właśnie zwiadowca. Mimo ogólnego spokoju, władca dostrzegał w nim pewne poruszenie.

– Teren jest spokojny, panie – odezwał się. – Choć niewiele brakowało, a zaraz stoczylibyśmy pierwsze starcie.

– Skąd taka myśl?

– Nieopodal natknąłem się na ślady obozu okolicznych buntowników. Niewielkiego, nie było w nim więcej niż dziesięciu ludzi. Widać było, że dopiero co go opuścili.

Księżę drgnął zaskoczony.

– Jesteś tego pewien?

– Najzupełniej, panie.

– Dobrze. Możemy zatem śmiało jechać dalej.

Książę, wyglądając na niewzruszonego, w rzeczywistości czuł prawdziwe zadowolenie. Szumowiny, z którymi Mesteria i Tizonia tak się męczą, przed nim i jego ludźmi uciekają, gdzie pieprz rośnie, pomyślał z uznaniem. Uśmiech satysfakcji odmalował się na jego obliczu.

Niebo pociemniało jeszcze mocniej, jakby postawiło sobie za cel zniechęcenie oddziału do dalszej wędrówki. Jechali obecnie pod górkę, pnąc się z mozolem.

Tymczasem Risten uśmiechnął się, próbując zamaskować zaskoczenie.

– Myślałem, że zapytasz mnie tylko o zdanie i odjedziesz na znaczną odległość – rzucił.

Jadący obecnie przy nim Dezmond zachnął się.

– A niby czemu miałbym tak zrobić? Prawie pół dnia ciągniemy drogą, markotnie tak. Zawsze lepiej mieć z kim zamienić słowo.

– Miło, że właśnie moje towarzystwo sobie upatrzyłeś.

– Paru żołnierzy uwzięło się na was, a większość ulega jak tylko pierwszą wyrazistą opinię usłyszysz. Bo żeby własne zdanie mieć, to trzeba trochę pomyśleć. No i cóż – westchnął – dla wielu to za wysokie wymagania.

Risten parsknął śmiechem.

– Udała ci się ta krótka analiza zebranych tutaj zbrojnych.

Mężczyzna podziękował za uznanie skinieniem głowy.

– Taka trafna?

– To też. Ale najbardziej urzekło mnie, że byłeś w stanie za jednym razem powiedzieć miłe słowo o mnie i o sobie samym.

Mężczyzna roześmiał się i klasnął ręką o kolano.

– Bystry z ciebie człowiek, niech mnie licho. Jeszcze bardziej niż sądziłem... Nie wiem, gdzie się uchowaleś, ale zdaje mi się, że księżę sam nie wie, jakie miał szczęście trafić na ciebie. A ja się znam na ludziach i lubię mieć za towarzystwo tych bystrych. Zwłaszcza że przebywam w takim znacznie rzadziej, niż bym chciał. Byłby tu obok nas jeszcze Lester, ale słabuje trochę i jedzie na uboczu. Odzywać się chwilowo nie ma ochoty. Będziesz miał okazję jeszcze z nim porozmawiać. Swój chłop, mówię ci. Bierze udział w misji, będąc spoza szeregów armii Tarelen.

– No to dzielę z nim los, można powiedzieć. Bardzo jestem ciekaw, co nas czeka na tej wyprawie.

– Nie wiem, co tobie mówili, gdy decydowałeś się w tym uczestniczyć, ale ja usłyszałem, że zostałem wybrany przede wszystkim ze względu na połączenie, mianowicie precyzji w walce z ogólną cierpliwością. Ha, to dopiero stwierdzenie – skwitował krótko swój wywód.

Risten przytaknął słowom mężczyzny. Było w jego postawie coś serdecznego. I to wynikającego z dobroci, wzbogaconej różnorodnością doświadczeń, niż z przesadnie naiwnego podejścia do życia. Risten poczuł, że przy tym człowieku może powiedzieć więcej niż tylko kilka suchych ogólników.

– Gdy zadałem pytanie angażującemu mnie żołnierzowi o cel misji, usłyszałem, że dla mnie sprowadza się on do słuchania rozkazów. Dodał, że zamiast dumać nad powodami księcia, powinienem się cieszyć wysokością żołtu, o jakiej na co dzień zbrojni mogą tylko pomarzyć.

– Fakt, że zapłata jest tutaj przyzwoita. – Dezmond krótko westchnął. – Co mnie cieszy i martwi jednocześnie. Im więcej możni są w stanie zapłacić, tym o groźniejszą stawkę idzie. Opowiadania o ubiciu krwiożerczej bestii nie do końca mnie przekonują, że pozwolę sobie na takie wyznanie.

– Nie sądzę, żebyśmy szli na jakąś samobójczą wyprawę, skoro sam książę bierze w niej udział.

– Też racja – przyznał mężczyzna. – Widzisz, mimo tylu lat doświadczeń czasem odzywają się we mnie nadmierne obawy... A przecież co to dla władcy Tarelen za interes, wyruszać daleko z tyloma zbrojnymi i potem wracać z podkulonym ogonem? Na pewno przygotował to wszystko tak, by na koniec pojawić się znów na swoim zamku, cały i zdrowy. Z kompletem ludzi lub w najgorszym razie z większością swoich sił. Oby jego plan był skuteczny. Nie ukrywam, że dopóki tu jestem, to zależy mi na tym.

– Na razie siejemy postrach samym widokiem – odparł Risten, chcąc przedstawić ich sytuację w korzystnym świetle.

Dezmond zaśmiał się w głos.

– Tak, tak, też o tym słyszałem. Grupa tych tutejszych buntowników wzięła nogi za pas jak się do nich zbliżaliśmy. Kilku oprychów to nic wielkiego, ale to jednak zawsze łechta ego – przyznał.

Jechali tak dalej obok siebie, urozmaicając sobie podróż rozmową, co pewien czas parszając śmiechem.

– Cześć władcy Tarelen!

Czekający w książęcym namiocie dowódca wyprostował się. Gentrosa zaskoczył fakt, że zamiast przyjąć go w ramach przypadającego na jutro porannego raportu, został wezwany przez jego wysokość jeszcze dzisiaj.

– Darujmy sobie ten cyrk – rzekł książę, kierując wzrok wyłącznie na swego sługę. – To nie uroczysty bankiet na zamku, żebyśmy musieli się tak nadymać – dodał.

Mężczyzna, który przed chwilą tak gorliwie zapowiedział swego zwierzchnika, zmieszał się wyraźnie i nie mówiąc choćby jednego słowa, skinął pokornie głową.

– Bądź pozdrowiony, panie! – zakrzyknął Gentros, widząc, że władca właśnie zaczyna kierować uwagę na niego. Odpowiedzią na powitanie był jedynie nonszalancki ruch ręką.

Teraz dowódca znalazł się już sam na sam z wielmożnym księciem. Nie licząc jednego z przybocznych, sprawiającego wrażenie jakby nie docierały do niego żaden widok i żadne słowo. Poza tymi, które mogły jakkolwiek zagrozić jego władcy.

– Słucham cię, melduj – odezwał się książę. – Jak się mają obecnie moi ludzie?

– Stan naszych sił oceniam wysoko, panie. Żadnych komplikacji, osłabienia ani braku subordynacji. Wszystko wygląda niemal tak samo jak wyruszaliśmy.

– A Risten? – Książę popatrzył na Gentrosa przenikliwie.

– A co ma z nim być, jaśnie panie?

Książę, słysząc to pytanie, przewrócił oczami.

– Co o nim sądzisz? – doprecyzował, nie kryjąc zniecierpliwienia.

Władca miał swoje wrażenia i odczucia względem Ristena, ale w tym momencie wolał nie dzielić się nimi z dowódcą. Dobrze wiedział ze swych

doświadczeń z codziennego rządzenia, iż zbyt wczesne wyrażenie opinii miewa zwykle wpływ na zdanie wyrażone przez służących mu ludzi. I to niekiedy wręcz bardzo znaczący.

Dowódca zafrasował się.

– Dobry z niego wojownik. Wytrzymały i odważny. Zresztą jak każdy tutaj, na tejsze misji. Są tu wyłącznie najlepsi, panie. Elita.

– Nie musisz mi opowiadać o całym oddziale, Gentrosie – wtrącił książę. – Obecnie oczekuję od ciebie innej odpowiedzi – dodał chłodnym tonem, a dowódca nerwowo przełknął ślinę.

– Oczywiście, panie. Na jakiegokolwiek niewygody czy trudności Ristenowi nie zdarzyło się do tej pory narzekać. Przynajmniej sam nie słyszałem, ani też wieści takie do mnie nie dotarły. A dobrze wiem, co się w garnizonie waszej wysokości dzieje. Mam wyczulone ucho i bystre oko. Gentros trzyma rękę na pulsie, o to moi książę nie ma powodu się obawiać.

– A wracając do Ristena... – wtrącił władca.

Z reguły nie miał trudności z tolerowaniem skłonności dowódcy do nieco długawych odpowiedzi, ale nie dzisiaj.

– Odnosnie Ristena, oczywiście... Oprócz tego, co już powiedziałem. – Westchnął krótko, tak jakby miało mu to dodać sił na dalszą odpowiedź. – Jakby na to nie patrzeć, panie, to przybłąda. Jeszcze niedawno nikt w stolicy naszego Tarelen nie rozpoznałby jego gęby. A teraz bierze udział, wraz z kwiatem waszej książęcej armii, w specjalnej misji. Czy to warto tyle waszej drogiej uwagi zaprzętać sobie takim człowiekiem?

Władca prychnął, przekręcając nieco głowę na bok.

– Może i przybłąda. Który jednak jest dobrze zaprawiony w walce. Nie zapominaj, że dzięki niemu pozbyliśmy się tej przeklętej szajki. Poza tym

dostrzegłem jego postawę, hart ducha... Zresztą, dlaczego to ja mówię o tym wszystkim? Chyba twoją rolą jest znać dokładnie każdego z osobna znajdującego się w obozie żołnierza. Znać wszystkie istotne informacje, każdy najdrobniejszy szczegół.

Na czole słuchającego tych słów mężczyzny wystąpiły krople potu.

– Wiem, że macie swoich ulubieńców pośród armii, czy też wręcz pupilków, w porównaniu z którymi ten człowiek, widzi mi się, wypada lepiej. Niektórych zresztą wygryzł z udziału w tej specjalnej misji. Jako dowódca powinienś jednak skuteczniej uciszać swoją niechęć czy uprzedzenie i patrzeć na stan rzeczy bardziej obiektywnie.

– Wybaczcie, panie – odparł dowódca z przejęciem.

– Jesteś dobrym dowódcą – stwierdził książę. – Masz liczne i znaczące zasługi dla Tarelen i dla mnie... Ale nie jesteś niezastąpiony. Pamiętaj o tym – dodał.

– Jak najbardziej, wasza wysokość.

– Teraz już możesz wracać do swoich obowiązków – stwierdził książę, na co Gentros skinął wyraźnie głową, po czym odwrócił się, idąc do wyjścia.

Władca siedział, zastanawiając się.

Risten to naprawdę dobry wojownik. Jednak jest w nim coś więcej, stwierdził w myślach książę. Głębokie przeświadczenie podyktowane intuicją mówiło mu, że ten człowiek miał w sobie coś szczególnego. Nie mógł tylko określić co. Miał jednak silną nadzieję, że przekona się o tym. I to wkrótce...

Tuż przed księciem pojawił się nagle lekko zdyszany jeden ze sług. Skłonił głowę.

– Nie wzywałem cię. Coś się stało?

– Panie, ktoś pragnie się z tobą widzieć, niezwłocznie.

– Niby kto? W dodatku o tej porze...

Mężczyzna odruchowo skłonił się jeszcze bardziej, widząc malujące się na obliczu władcy oburzenie.

Co za tupet, pomyślał książę. Oby ktoś miał naprawdę dobre wytłumaczenie na domaganie się przyjęcia go niemal w środku nocy...

– To kobieta, wasza wysokość.

Słyszac to zdanie, władca unióś brwi ze zdziwienia.

– Czekam, aż mi to wytłumaczysz.

– Przybywa od władcy Tizonii, panie. Mówi, że jej lord gorąco życzy sobie, byś nie wahał się poświęcić jej chwilę swej bezcennej uwagi.

– Mów dalej.

Całe szczęście, że sługa wiedział nieco więcej o tajemniczym gościu.

Kurwy...

Wcale mu się nie podobało, że dziwki znalazły drogę do jego oddziałów. Nie lubił kurew, wręcz unikał ich obecności. Myśl o tym, że swobodnie przechadzają się po jego obozie, mącąc w głowach, a przede wszystkim w spodniach jego ludzi, mierziła go niesłychanie.

Lecz co było robić? W innym przypadku może i kazałby pogonić je daleko stąd, ale skoro przybyły tutaj na polecenie władcy Tizonii i to jeszcze pod eskortą... Odrzucenie tego gestu jak najbardziej wchodziło w grę. Niestety wiązałoby się z głębokim afrontem, wręcz obrazą dla władcy Tizonii... Poza tym książę wiedział, że zbrojna wyprawa ma swoje prawa. Niektóre z nich nie

tylko były starsze niż on sam i cały jego ród, ale należały niemal do rówieśników świata.

To było właśnie jedno z takich praw.

Chcąc mieć względną przychylność ludzi, a przede wszystkim sprawnie uciszać jakiegokolwiek pomruki niezadowolenia, dobrze było dać im możliwość ulżenia ich chuci. Zawsze to wpłynęło korzystnie na ich morale. A w końcu jest to czynnik, który nie może być za wysoki.

Dlatego też właśnie miał przed sobą kurwę.

Stała nieco pochylona, z poczuciem niższości. A przynajmniej chciała sprawić takie wrażenie.

Wcale nie oczekiwał od niej tak poddańczej postawy. Na tego rodzaju widok nie odczuwał żadnej satysfakcji ani wyższości. Widać życie ją nauczyło, że tak będzie dla niej bezpieczniej. Była zwyczajnej urody, ale nie mógł jej odmówić pewnej atrakcyjności. Wyobrażał sobie, że wielu mężczyzn, szczególnie mocno potrzebujących, mogło reagować obfitym ślinotokiem na widok tej kobiety.

– Jesteśmy na każde życzenie. Twoje, szlachetny i dostoyny panie, oraz twoich ludzi.

Przełknęła ślinę, próbując ukryć coraz bardziej widoczne zdenerwowanie. Czy prosty wieśniak, czy wpływowy możny, zapewne była przyzwyczajona do wzbudzania w mężczyznach zainteresowania swoją osobą.

Patrząc na księcia, nie dostrzegała choćby krztyny uwagi.

– Ja jestem wyłącznie dla ciebie, panie. Lord uznał mnie za najcenniejszą.

Księżę wciąż milczał. Jedyną dającą się dostrzec reakcją był niewielki grymas, który przemknął przez jego niewzruszoną twarz.

Kobieta mimowolnie zacisnęła w pięści spocone dłonie.

– Żadna z dziewcząt nie poszła jeszcze do twych żołnierzy, wasza wysokość. Wszystkie czekamy na twą przychylność. – Skłoniła głowę w całkiem dwornej manierze.

Władca Tizonii rzeczywiście musiał przysłać wyróżniającą się kurtyzanę, pomyślał książę.

– Przyjmuję ten prezent – stwierdził.

Kąciki ust dziwki drgnęły w ledwie widocznym uśmiechu, a jej klatka piersiowa obniżyła się w uwalniającym zgromadzone napięcie wydechu.

– Pozwól, że powiadomię moje towarzyszki i natychmiast tu powrócę, panie.

– Nie ma takiej potrzeby. Strażniku!

Na zawołanie błyskawicznie zareagował stojący z tyłu żołnierz.

– Udaj się do przybyłych do nas kobiet oraz ich eskorty. Powiedz, że mój dowódca zadba, by wszystko działa się jak należy.

– Tak jest, panie – rzekł krótko mężczyzna, po czym odmaszerował wykonać polecenie.

– Co do ciebie – odezwał się książę – zostaniesz za chwilę odprowadzona do nocnej części mojego namiotu.

Kobieta, zachowując milczenie, skłoniła lekko głowę.

Pośród rozbitego obozu, między wznoszącymi się namiotami i skwierczącymi ogniskami, krzątali się ludzie, rozprawiając między sobą wyraźnie żarliwiej niż zazwyczaj.